

S A T Y R A

Z pamiętnika świętego Mikołaja

Niedawno wezwano mnie przed oblicze czynnika miarodajnego.

— Dzięki Bogu! — powiedział Pan Bóg — skończył się już martwy sezon, możesz już udać się na ziemię.

Wsiadłem więc do autożyra i spuściłem w rekordowym czasie na ziemski glob. Jako, że we wszystkim musi być hierarchja, postanowiłem zacząć moją perjodyczną działalność od rodzin królewskich. W dzisiejszych czasach to rodziny, które najwięcej dają mi pola do popisu. Nikt nie ma tyle potomstwa i krewnych, co przeciętny król. Musi on sobie zapewnić częstą reklamę i dlatego zawsze ma bardzo dużo dzieci. Już przy urodzeniu dziecka, robi się dużo hałasu, naród ma święto, a król reklamę. To samo jest przy chrzcinach, potem przy zaręczynach, wreszcie przy małżeństwie. Młoda para znów ma dzieci i tak „da capo al fine” rody panujące mają nieustającą reklamę. Lud się cieszy, sąsiedzi zazdroszczą, gazety wszystkich krajów przepełnione są sprawozdaniami i fotografiami z dworskich uroczystości. Oto dlaczego królowie mnożą się jak króliki.

Nic więc dziwnego, że po opadnięciu na ziemię, udałem się na dwór angielski. Tyle czytałem o małżeństwie księcia Kentu i księżniczki Maryny greckiej, że postanowiłem pierwszy mój prezent wręczyć ich dziecku. Niestety spotkał mnie zawód. Zaledwie wtargnąłem do książęcych komnat, zorientowałem się, że obecność moja jest tam przedwczesna. Musiałem natychmiast wycofać się, nie zdążywszy nawet wybać przeprosin.

Trzeba było kontynuować tak niefortunnie rozpoczętą działalność. Przestrzegając światowej hierarchji, musiałem się udać do rezydencji różnych prezydentów. Nie dziwcie się, że to mnie bynajmniej nie pociągało. Tak mało się o nich czyta w gazetach. Nie trzeba chyba dodawać, że i na tym terenie nie miałem pola do popisu. Nie wręczyłem żadnego prezentu. Głowy państw nie mają małych dzieci.

Kiedy już znalazłem się w Polsce, poszło mi jakoś lepiej. Dowiedziałem się o istnieniu małego bębe, które już oddawna marzy o własnej konstytucji. Jakoś dotychczas nikt biednemu maleństwu nie chciał dać takiego prezentu. Nawet rodzony dziadek. Wręczyłem więc biedactwu odpowiednią laurkę i sądzę, że niedługo wspomniane bębe ogłosi światu dumnym piskiem o tym prezencie. Myślę, że wszystko będzie dobrze, jeżeli dziadek zgodzi się na taki podarek. Jeśli nie, to będę musiał temu blisko siedmiolletniemu dziecku, przynieść różeczkę.

Na parę dni przed wylą, podczas gdy odwiedzałem warszawskie dzieci, odbywał się w stołecznej Operze koncert Karola Szymanowskiego. Skorzystałem z okazji i, włożywszy frak, udałem się na ten koncert, pragnąc poznać tutejszą elitę, która na tym koncercie miała być reprezentowana. Nie wzbudziłem specjalnej sensacji na sali, bo wszyscy wzięli mnie za profesora Zielińskiego, chociaż po polsku mówię już od dobrych kilkadziesiąt lat. Mogłem się więc dowoli przyjrzeć otoczeniu.

— S noblesse oblige — pomyślałem sobie, widząc tłumy wyfraczonych panów i wydekoltowanych pań, którzy swemi ziewającymi mi z nudów minami dawali wyraźne do poznania, że z muzyką nie mają nic wspólnego. Uwagę moją zwrócił pewien oficer, który podczas wykonywania słynnej czwartej symfonji, stał na baczność. Zaczepiłem go później i spytałem o powód tego dziwnego zachowania się.

— Panie profesorze — objaśnił mnie oficer — okazało się, że

to pomyłka. Poprostu coś mi się pomieszało. Myślałem, że Szymanowski napisał pierwszą symfonię, a podczas koncertu grali czwartą brygadę...

Dowiedziałem się od tubylców, że niedawno na łamach prasy tutejszej dziwnie zwanej sanacyjną, toczyła się polemika między dwoma publicystami rządowymi o bicie dzieci. Jeden gwałtownie wystąpił przeciwko takim metodom, podczas gdy drugi zaczął biadać, że w Polsce za mało jest tężyzny i spartańskiej odporności, czem chciał dać do zrozumienia, że właściwie mało biją. Jako spec od dzieci, chciałem zanieść książeczkę synkowi publicysty broniącego dziecięcej skóry, a różeczkę pociesze publicysty surowego. Okazało się, niestety, że obaj nie mają dzieci!

Najbardziej mnie zmartwiły dzieci warszawskiej ulicy. Idę sobie, przyjaciół dzieci, alejami, za mną wlecze się taksówka pełna podarków, które zamierzałem rozdać, aż tu przyczepia się do mnie dwóch kilkoletnich uliczników, wołając:

— Dyrektorze kochany! Dyrektor da parę groszy!... Taki głodny jestem!... Na Ligę Obrony Żołądka!... Królu złoty!... Straszna rewolucja w brzuchu!...

Nic nie dałem, bo nie miałem monety obiegowej.

Wigilię spędziłem w gronie staropolskiej rodziny państwa Obersonów. Niepostrzeżony ukryłem się za jakimś arrasem, czy gobelinem i stamtąd obserwowałem tradycyjne obrzędy. Spoczątku cała rodzina znajdowała się na balkonie. Wpatrywano już od południa pierwszą gwiazdkę. Wreszcie koło godziny czwartej pani Obersonowa krzyknęła:

— Gwiazdeczka zajaśniała już na nieboskłonach! Walenty, proszę dać służbie hasło do rozpoczęcia wieczerzy. Czy miejsce dla zagórskiego gościa już zastawione?

— Tak jest, proszę jaśnie pani — odparł Walenty, — tylko te światełko, to nie gwiazda, ale samolot wracający na lotnisko!

— W istocie — rzekł pan Oberson — to jeszcze nie gwiazda. — Wstrzymajcie się jeszcze od pożywiania darów bożych. Tradycji w moim domu musi dążyć się zadość!

— Ale teraz — zawołał ktoś z rodziny, spostrzegając białą plamkę na niebie — już naprawdę zajaśniała gwiazda przewodnia.

— Nic nie wiadomo! — zaprotestował pan domu. — Weroniko! Proszę przynieść moją polową lunetę.

— No, widzicie! — rzekł potem z oburzeniem — to nie gwiazda, to planeta! O mały włos zlamali-

byśmy starodawny obyczaj.

Po paru minutach stwierdzono wreszcie obecność na niebie autentycznej gwiazdy. Towarzystwo zebrało się dokoła stołu i poczęło się łamać opłatkiem. Tylko syn państwa domu, który niedawno powrócił z tradycyjnej „rybki” korporacyjnej, był w tak dobrym humorze, że zaczął się łamać z krewnymi płytami gramofonowymi, które po wigilji przygrywać miały kolendy.

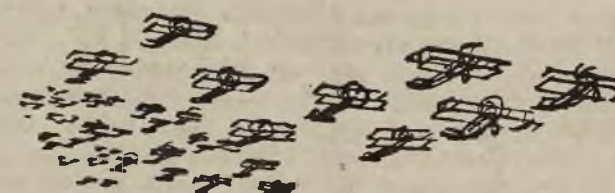
Skarcono młokosa i zaczęto siadać do stołu. Dopiero wtedy

wynikła tragedia. Okazało się, że siano znajduje się pod obrusem w takiej ilości, iż uniemożliwia jedzenie. Nadmiar żdźbeł dziurawił obrus i ręce uczestników, a talerze i sztucce zapadały się w miękką powierzchnię. Jeść było niesposób.

Nie wiem, jak się to skończyło, bo nie wytrzymałem dłużej. Wycofałem się dyskretnie i, jak po męczeńskich torturach, poszedłem prosto do nieba.

Przepisał
Taki - a - taki.

Kantyczka



Wróble, stróżowie, gdy nad szopą świergotają,
Paniąteczku spać nie dają,
Dziw, dziw, dziw nie dają.



Także żydom nakazano i znać dano,
By Pana witali, do szopy biegali.



Pokój ziemi ogłaszają,
Chwałę Bogu powtarzają.



Janusz Minkiewicz

Wołanie o zgodę

Jerzemu Paczkowskiemu

Gdy się opłatkiem naród dzieli,
Milkną hałasy, kłótnie, spory,
Żółć całą nagle diabli wzięli,
Człek się do zgody staje skory!

Dosyć napaści, ukłuć, szpilek!
Dość się po świecie złości pęta.
Niech zgoda będzie choć na chwilę,
Choć na dzień jeden, choć na święta!

W tym dniu, ode mnie moim wrogom
Ho!d się należy, wdzięczność, dług!:
Jakąbym twórczość miał ubogą,
Gdyby bez przywar był mój wróg!

Z tych wrogów żyłem w ciągu roku,
Więc dziś się stanę dla nich miękki,
Przestaną psioczyć, dam im spokój
I prześlę słowa im podziękii...

Szczególnie moje wrogie trio,
Co zawsze daje dobry temat,
Okrzykiem uczę: „Niechaj żyją
Bandrowski i z Krzywicką Hemar!”

I za przykładem idąc naszym
Niech inni uczą się toastem,
Niech z KAPem zgodzi się Ułaszyn,
Niech Jaracz się pogodzi z ZASPem!

Niech Strofiski z Matuszewskim chodzi
I niech przeproszą się z patosem,
Niech Mirjam z Pinim się pogodzi,
A Norwid... z swoim smutnym losem!

I zaraz niech się wszystko utnie,
Bo długo tak nie może być.
I niech się znowu zaczęta kłótnie,
Bo przecież p o c o ś trzeba żyć!

Zygmunt Jurkowski

Jak powstaje komunikat

W drzwiach stanął jegomość o nalanej twarzy i odchrząknąwszy, aby zwrócić na siebie uwagę, rzekł:

— Serwus stary!

— Heil! — Odpowiedział żartobliwie gospodarz, który siedząc przed lusterkami, trudnił się właśnie przystrzyganiem swego płowego wąsika.

Schowawszy nożyczki do bocznej kieszeni, odstawił lustro i zagadnął:

— Co słychać?

— Nic, „lipa” — odrzekł przybysz.

— Jak się czujesz?

— Nieszczególnie, wyobraź sobie, że w naszym klubie podle karmia, strulem się jakimś paskudztwem i wątroba mnie uwierca.

— To głuństwo.

— Niebardzo, bo w związku z tem wytworzyła się obstrukcja.

— Masz więc te oto pigułki, zażywaj po jedzeniu, jak ręką odjął — rzekł gospodarz wręczając gościowi małe pudełeczko.

— Merśi, a co u ciebie?

— Równie źle, dostałem zawrót głowy, wystaw sobie, że zarząd Lunaparku zaprosił mnie na uruchomienie nowej diabelskiej kolejki i musiałem załatwić cały ceremoniał począwszy od przecięcia wstęgi, a skończywszy na karkołomnej jeździe, no i stąd zawroty — to mówiąc wy dobył z kieszeni nożyczki — 185 razy przecinałem wstęgę — dodał znużonym głosem — toteż na wszelki wypadek zawsze je noszę przy sobie.

— No a co słychać pozatem, jak tam nasze sprawy?

— Eh! — mruknął zniechęcony gospodarz machnąwszy ręką.

— Eh! — powtórzył za nim jegomość o nalanej twarzy, poczem zasępił się, podumał dłuższą chwilę i rzekł wstając:

— No to serwus!

— Heil! — pożegnał go żartobliwie gospodarz i ustawiając przed sobą lustro, zabrał się znów do przycinania swego płowego wąsika.

Nazajutrz ukazał się w prasie następujący komunikat oficjalny: „W dniu wczorajszym w godzinach popołudniowych p. prezes B. Z. D. R. pułkownik Szczek - Czabel, złożył wizytę oficjalną ministrowi P. R. i O. K. prof. Kowalskiemu. W krótkiej rozmowie obaj dygnitarze omówili szereg palących zagadnień dotyczących zamierzonych nowych inwestycji, restrykcji, dyskontynacji i retroinspekcji. Po skończonej konferencji p. prezes B. Z. D. R. opuścił prywatne apartamenty ministra P. R. i O. K. żegnany uroczystością przez stałego honorarę. Rozmowa miała charakter ściśle poufny”.

Rys. Z. Jurkowski

Cyt, cyt, wszyscy się cicho zabierajcie, Dzieciątka nie przebudzajcie.